

W rajskiej krainie

Krzysztof Błażyca

Mówią, że Chingombe leży na końcu świata. Aby tam dotrzeć trzeba pokonać ponad 200 km przez busz, strome górskie zbocza i rzeki. To tam pracują nasi misjonarze

Z księdzem Piotrem Kołczem, który rodzinne Tychy zamienił na Zambię, spotykamy się w stolicy kraju, Lusace. Czas pożegnać Anię, wolontariuszkę, która przez miesiąc uczyła angielskiego przy misji w Chingombe. Dla Marka, informatyka, który w środku buszu przybliżał ludziom podstawy obsługi komputera, czas nieco łaskawszy. Jeszcze kilka tygodni... Odbieramy z warsztatu doświadczonego przez zambijskie drogi land cruisera. Jest południe. Czas ruszać, jeśli chcemy dotrzeć na misję przed północą.

Kabwe to ostatnia większa miejscowość po drodze z Lusaki do Chingombe. Mieszkają tu Służebniczki Starowiejskie, założone przez bł. Edmunda Bojanowskiego. Siostry przybyły do Zambii w 1928 r. Pierwszy dom założyły w Chingombe. Dziś, popularnie nazywane blue nuns (błękitne zakonnice), cieszą się powołaniami w Zambii. Dwie z sióstr, wrzucają bagaże na pick-upa. Ładujemy beczki z kapustą, ziemniakami, worki ryżu i cukru – zapasy na najbliższy miesiąc. Dosiadają się trzy kobiety, jedna z dwojgiem małych dzieci, i mężczyzna. Upychamy się w naszej „pierwszej klasie”, tak aby nikogo nie wywiało z otwartej paki land cruisera.

Zanim Piotr trafił w 2007 r. do Chingombe, pracował w miejscowości Chilonga. – Misja się rozwinęła i parafię przejęli księża zambijscy – tłumaczy po drodze. – Postanowiłem więc pomóc ks. Marcelowi, który od kilku lat był całkiem sam w Chingombe. To trudny teren. 33 stacje misyjne, a najdalsze oddalone od siebie o 200 km. W okresie pory deszczowej wiele jest niedostępnych – opowiada.

Zapada zmrok, a przed nami jeszcze ponad połowa drogi. Doskwiera chłód. W siedem osób dzielimy jeden koc. W dolinach powietrze igra z nami nagłymi uderzeniami: ciepło, zimno, ciepło, zimno... Czuć słodki zapach buszu zmieszany z wonią spalonego drewna. - Ludzie wypalają busz, bo twierdzą, że ziemia po tym lepsza. Ale ognia już nie kontrolują. I bywa że tracą gospodarstwa – mówi Piotr. Żywiol pożera krzewy, drzewa przewraca na drogę. W rezerwie trzeba mieć zawsze siekiere, szpadel. Jak i tym razem. Przymusowy postój, przed północą, w okolicy, gdzie ponoć przypałyły się dwa lwy. W końcu jednak docieramy do misji. Parę minut po pierwszej. Gwiazdy jakże pięknie świecą na zambijskim niebie. A Zenek świeci latarką – Witajcie, nareszcie!

Ksiądz Zenon Bonecki z Czyżowic, trafił do Chingombe po rocznym przygotowaniu w warszawskim Centrum Formacji Misyjnej. – Misja to dla mnie ciągłe uczenie się ludzi, wchodzenie w ich kulturę – mówi skromnie. Misyjne kroki stawia z zapalem, pielgrzymując po kamienistych drogach wraz z parafianami. W buszu powstaje sanktuarium maryjne na... świątym, szerokim na pięć metrów, kopcu termitów.

– Sanktuarium to pomysł ludzi. A pielgrzymki rozpoczął Piotr – mówi Zenek. - W tym roku szli przeprosić Boga za grzechy spowodowane alkoholem. Wyruszyło 7 kobiet, nawet z małymi dziećmi, i 14 mężczyzn. Niektórzy boso. W sześć dni musieliśmy pokonać ponad 200 km, przez góry i busz.

Ks. Marcel Prawica, proboszcz, z diecezji sandomierskiej, w Chingombe siedzi od 1976 roku. Widzi jak alkohol wyniszcza ludzi, fizycznie i moralnie - Pędzą samogony - kaczasu. A to trucizna. Potem pokładają się w trawie, cierpią rodziny, rozprzestrzenia się AIDS, zapijają się na śmierć. Ale według nich nie ma naturalnych przyczyn śmierci. Bo wierzą w czary. Mówię im: wyznajecie wiarę w Boga Ojca Wszechmogącego, a życie jakbyście wierzyli „w czary wszechmogące”. - Ale jest i wielu, których wiara zachwyca – zaznacza Piotr. - Można się od nich uczyć większej odpowiedzialności za kościół, niż to jest w polskim kościele, gdzie świeccy mają bardziej marginalną rolę. Tu muszą wiele rzeczy robić sami, decydują o sprawach swoich kościołów na co dzień i sami dbają o przekazywanie wiary młodemu pokoleniu.

Idziemy na cmentarz. Nie ma tu grobów. Tylko blaszane talerze i kubki leżące pośród trawy świadczą, że znajdujemy się na miejscu pochówku. – To znak że zmarły nie będzie już korzystał z pokarmu ziemskiego – tłumaczy Piotr. – Ludzie po pogrzebie nie przychodzą już na cmentarz. Boją się tych miejsc. Próbuje zmienić tę mentalność, np. przy okazji Dnia Wszystkich Świętych.

Chingombe, zawsze zielone, feruje intensywnością barw, nawadniane rzeką Chingombe. Otacza je pasmo gór Muczinga ciągnących się na szerokości 500 km w północno wschodniej części kraju. – Nasza rajska dolina – uśmiecha się Piotr.

Pierwszymi misjonarzami byli tu polscy jezuici, którzy w 1914 wykupili tereny od brytyjskiego eksploratora Harrisona Clarka (wprowadził m.in. telegraf w Zambii) za bajeczną wówczas sumę 732 funtów. Pieniądze na ten cel ofiarowała Maria Teresa Ledóchowska. Choć sama nigdy w Afryce nie była, jej zaangażowanie w sprawy misji zjednały jej miano „Matki Afryki”. Zgodnie z życzeniem przyszłej błogosławionej na terenie misji powstał kościół pw. Matki Bożej Bolesnej. Świątynię ukończono w latach 30-tych XX w. Jezuici opuścili misję w latach siedemdziesiątych. Ich miejsce zajęli misjonarze fideidoniści.

Marcel, misyjny weteran, wspomina wspólny czas z abp Adamem Kozłowieckim, pierwszym arcybiskupem Lusaki (od 1959 r. do 1969 r.). Abp Kozłowiecki na stałe wpisał się w historię kraju, a za zaangażowanie w proces odzyskania niepodległości (24 października 1964, gdy dotychczasowa Rodezja Północna została przemianowana na Zambię) został uhonorowany zambijskim Orderem Wolności. W 1998 roku Jan Paweł II mianował go kardynałem.

– Arcybiskup dołączył do mnie już na emeryturze, miesiąc po moim przybyciu na misję. Pracowaliśmy razem 13 lat. Był bardzo przywiązany do Chingombe – opowiada. proboszcz. Listy kardynała wydano w Polsce w publikacji Moja Afryka. Moje Chingombe. Ostatnie lata, przed przybyciem Piotra i Zenona, Marcel prowadził parafię sam. – Teraz mogę umierać spokojnie. Mam dwóch młodych do zaprzęgu – śmieje się zerkając porozumiewawczo na Piotra i Zenka.